

Grozi nam odgermanizowanie Holokaustu

Z prof. Bogdanem Musiałem, historykiem specjalizującym się w XX-wiecznych dziejach Niemiec rozmawia Piotr Włoczyk, DoRzeczy, nr 10, 8-14.03.2021 r.



PIOTR WŁOCZYK: Skąd się wzięło to fałszywe sformułowanie? Gdzie szukać korzeni „polskich obozów śmierci”?

PROF. BOGDAN MUSIAŁ: Byłem bodaj jednym z pierwszych historyków, którzy alarmowali w tej sprawie i żądali od państwa polskiego konkretnych działań.

W 2004 r. w Jerozolimie wygłaszałem na ten temat referat. Dla niemal wszystkich zgromadzonych tam badaczy było jasne, że „polskie obozy śmierci” to pojęcie fałszywe i krzywdzące Polskę. Tylko jedna koleżanka z Niemiec przekonywała potem w dyskusji, że przesadzam z wszczynaniem alarmu. Że przecież tak naprawdę nic Polsce nie zagraża, bo - jak argumentowała - każdy rzekomo rozumie, że chodzi jedynie o położenie geograficzne. Czyli tak naprawdę to nie jest problem. A jednak ta koleżanka nie była w stanie wyjaśnić, dlaczego w takim razie Niemcy nie używają pojęć „bawarski obóz koncentracyjny Dachau”, „austriacki obóz koncentracyjny Mauthausen” czy „czeski obóz koncentracyjny Theresienstadt”. Usłyszałem od niej tylko, że to „kompletnie inna sprawa”.

Brakuje chyba twardych danych, badań opinii publicznej na Zachodzie, by rozstrzygnąć z całą pewnością, jak ludzie rozumieją to fałszywe pojęcie.

Twierdzenie, że wszyscy doskonale wiedzą, iż chodzi jedynie o lokalizację w okupowanej Polsce, jest po prostu śmieszne. Tuż po wojnie to, kto budował obozy, było zapewne zrozumiałe niemal dla wszystkich. Nawet niektórzy Polacy używali takiego sformułowania właśnie w kontekście lokalizacji lub zabijanych tam ofiar, a nie zarządców. To jednak było w 1945 r. i to, co kiedyś było oczywiste, teraz już na świecie takie oczywiste nie jest. Teraz, ponad 70 lat później, jest zupełnie inaczej. Przez ostatnie dekady, za sprawą bardzo inteligentnie prowadzonej niemieckiej polityki historycznej czy raczej propagandy historycznej, zbrodnie niemieckie zostały w znacznej mierze odgermanizowane. Proszę zwrócić uwagę, że dziś używanie pojęcia „niemieckie obozy zagłady” coraz częściej bywa postrzegane jako politycznie niepoprawne. W Europie lewica uważa to za ugruntowywanie stereotypów narodowościowych. To się wydaje niemożliwe, ale to po prostu fakt.

W 2005 r. w PE doszło do gorszącej batalii o to, czy można nazywać Auschwitz obozem „niemiecko-nazistowskim” czy jedynie „nazistowskim”. Za tą drugą opcją bardzo mocno optowali liberałowie i socjaliści, także Niemcy, którzy przekonywali, że ta pierwsza nie jest właściwa.

Na zasadzie: „Nie wszyscy Niemcy byli w czasie wojny zwolennikami Hitlera”?

O to oczywiście chodziło liberałom i socjalistom, ale to zakłamywanie historii. Takich Niemców było bardzo mało. Lwia część obywateli III Rzeszy wspierała Hitlera i to praktycznie do samego końca. Nigdy żaden niemiecki polityk w historii nie miał takiego poparcia. Niemcy byli mu wierni aż do 1944 r., gdy stwierdzili, że chyba jednak można z nim przegrać wojnę. Aż do tamtego momentu dzielnie walczyli z nim na frontach i ochoczo zakładali obozy koncentracyjne oraz obozy śmierci.

Jednakże w 2019 r., podczas wizyty w Auschwitz, Angela Merkel zdecydowanie podkreśliła, że obóz ten był „niemieckim, narodowosocjalistycznym obozem pracy i śmierci” „Ta nazwa jest ważna jako pełna nazwa” - powiedziała wówczas kanclerz Niemiec.

Rozumiem, że te słowa chwytają Polaków za serce, ale cały czas musimy pamiętać, że Niemcy prowadzą swoją propagandę historyczną. Merkel mogła sobie pozwolić w Polsce na taką wypowiedź, żeby zadowolić Polaków.

Na pewno nie zależało jej jednak, żeby te słowa rozniosły się po świecie. Niemcy nagłaśniają to, co im pasuje. Przykładem mogą być tzw. procesy frankfurckie, do których doszło w latach .60. Sądzone wówczas niewielką część załogi Auschwitz-Birkenau. Niemcy są z tego bardzo dumni. Skazano wówczas garstkę zbrodniarzy, a wyroki nie były zbyt dotkliwe. We Frankfurcie powstał nawet specjalny instytut, którego celem jest rozpropagowanie na świecie tego, jak rzekomo wspaniale Niemcy rozliczyli się z przeszłością. To miraż, bo państwo niemieckie ogromną większość zbrodniarzy hitlerowskich ochroniło przed karą, a przed sądami postawiło absolutne minimum w celach stricte wizerunkowych.

Niemiecka propaganda historyczna prowadzona jest bardzo subtelnie i Polacy generalnie tego nie zauważają. A jeżeli już, to szukają korzeni tego problemu nie tam, gdzie one rzeczywiście są. W Polsce na prawicy robi karierę opowieść, jak to po wojnie BND, zachodnioniemiecki wywiad, robił wszystko, by w przestrzeni medialnej „naziści” wyparli Niemców, a także by jak najczęściej pojawiała się określenie „polskie obozy śmierci”. Problem w tym, że nie ma żadnych dowodów na to, iż była to jakaś zaplanowana operacja precyzyjnie realizowana przez niemiecki rząd. To zbyt naiwne podejście do tego problemu.

Skąd więc biorą się „polskie obozy śmierci”? Ile w tym niewiedzy, a ile świadomej manipulacji, kłamstwa?

W przypadku Niemiec myślę, że to się rozkłada mniej więcej po połowie. Jeżeli nie jest to kłamstwo, to co najmniej podświadoma manipulacja. Niemcom zależy na powtarzaniu pojęć, które pasują do ich wyobrażeń.

To jednak powinno być dla nas wszystkich zrozumiałe. To przecież leży w interesie Niemiec, bo żaden naród nie chce być kojarzony ze zbrodniami. Niemcy to globalna marka eksportowa, która musi dbać o swój wizerunek. Żeby zrozumieć fenomen „nazistów” i „polskich obozów śmierci”, trzeba zajrzeć w głąb niemieckiej psychiki.

Co pan tam widzi?

Jeżeli wszyscy dokoła nas powtarzają, że Niemcy sami byli ofiarami nazistów, a 8 maja naród

niemiecki został „wyzwolony” od Hitlera, to w sposób podświadomy - i to jest optymistyczna dla nas, Polaków, wersja - zaczynamy w tym stylu opowiadać historię wojny. I to ma swoje konsekwencje w mediach. Gorsze jest jednak to, że ten rodzaj narracji widać nie tylko wśród dziennikarzy, lecz także wśród niemieckich historyków. Koleżanka, która polemizowała ze mną w Jerozolimie, to tylko jeden przykład. Niestety, nierzadko widzę sformułowania tego typu w pracach naukowych wydawanych w Niemczech. Ostatnio rzuciło mi się w oczy w jednej z książek jak to „naziści” po dokonaniu zbrodni w czeskich Lidicach wywieźli tamtejsze dzieci do „polskiego obozu pracy”. Nie ma żadnych odgórných zaleceń, by tak pisać, by tak opowiadać o historii III Rzeszy. To się po prostu realizuje samorzutnie. Naród z taką przeszłością będzie się chciał wybielić i musimy mieć tego świadomość. Polska nie może jednak na to pozwolić.

Jaki klimat panuje w tych kwestiach w niemieckich szkołach podstawowych i średnich?

Jeżeli chodzi o szerokie niemieckie społeczeństwo, to poziom wiedzy o zbrodniach w Polsce jest żenująco niski. Ten temat to w niemieckich szkołach małeńki szczegół, na który mało kto zwraca uwagę. Program szkolny odzwierciedla niemiecką propagandę historyczną. Dużo opowiada się o mordowaniu Żydów, ale jeżeli z drugiej strony mówi się, że 8 maja Niemcy zostały „wyzwolone” od Hitlera, to wniosek może być tylko jeden...

Czyli słowa Baracka Obamy z 2012 r., gdy amerykański prezydent mówił o „polskim obozie śmierci”, to tak naprawdę ukoronowanie tego procesu?

Bez wątpienia, ponieważ pracował nad tym przemówieniem cały sztab ludzi. Dekady opowieści o „polskich obozach śmierci” i o zbrodniach „nazistów” zaowocowały w ten właśnie sposób. Nikomu z otoczenia Baracka Obamy nie przyszło do głowy, że być może takie określenie jest krzywdzące dla Polaków...

Często słysząc o interwencjach polskiej dyplomacji w sprawie zagranicznych mediów używających tego kłamliwego wyrażenia, słyszymy też o procesach wytaczanych notorycznym kłamcom. Moim zdaniem potrzeba nam wielkiego, głośnego procesu, w którym Polacy domagaliby się wielomilionowego odszkodowania za zakłamywanie naszej historii. Taki proces, bardzo łatwy do wygrania, mógłby skupić uwagę świata na tym problemie.

Podobnie jak proces, który Wiktor Krawczenko, uciekinier z Z5RS, wytoczył francuskim

komunistom, którzy oskarżyli go o szerzenie kłamstw na temat Związku Sowieckiego?

Tak. Sprawa Krawczenki pomogła nagłośnić prawdę o naturze sowieckiego systemu. Historia nowelizacji ustawy o IPN pokazała, że takie narzędzia są raczej kontrskuteczne, więc nie powinniśmy już po nie sięgać. Wielki proces cywilny w USA z wielomilionowym odszkodowaniem w tle - jestem pewien, że taka sprawa przyniosłaby dużo dobrego polskiemu wizerunkowi za granicą.



Nie obawia się pan jednak, że Polska ma już tak zepsutą opinię na Zachodzie, iż każda próba opowiedzenia tej historii na nowo będzie uważana za propagandę?

Dlatego to trzeba robić bardzo rzeczowo, a nie pod hasłem „Bóg, honor, ojczyzna”. Bez emocji, bez krzyków, że w ten sposób krzywdzi się naród polski, że to my byliśmy ofiarami. To jest dobre w publicystyce wewnętrznej na potrzeby pokrzepienia ducha. Tą narracją nie mamy szans na Zachodzie. Trzeba sięgnąć do archiwów, pokazywać, co się działo na terenie okupowanej Polski.

Tu jest potrzebna historyczna praca od podstaw. Musimy wydawać na Zachodzie porządnie przygotowane książki, w których fakty same będą się broniły.

Musimy jednak zacząć od siebie. Trzeba wytłumaczyć naszemu społeczeństwu, dlaczego Polacy nie byli ani narodem sprawców, ani współsprawców. Fałszerze historii muszą być odcięci od finansowania przez państwo. Mamy wolność słowa, więc każdy może sobie pisać, co mu się tylko podoba, ale państwo polskie nie może płacić autorom książek, które wpisują się w linię korzystną dla I

I naszego zachodniego sąsiada. Centrum Badań nad Zagładą Żydów kreuje wizję historii, której efektem musi być uznanie Polaków za współsprawców Holokaustu. Biorąc na poważnie tezy głównych badaczy centrum, trudno wyciągnąć inny wniosek A to jest przecież wniosek kłamliwy. Nie mogę zrozumieć, jak to jest, że Polska Akademia Nauk, pod której auspicjami działa centrum, toleruje coś takiego.

Obrońcy centrum wskazują jednak na wolność badań naukowych. Czy odcięcie tych badaczy od publicznych pieniędzy jeszcze bardziej nie pogorszy wizerunku Polski na Zachodzie?

Najpierw musimy zdać sobie sprawę z tego, że mamy w Polsce ośrodki, które dostarczają na Zachód amunicję pozwalającą oczerniać nasz kraj. Wszystko zaczęło się od Jana Tomasza Grossa. Teraz grupa pod przewodnictwem Jana Grabowskiego potwornie wykoślawia historię Polski.

Ich twórczość doskonale pasuje ludziom, którzy opowiadają o „polskich obozach śmierci”. Ci ludzie nasłuchują wieści z Polski i zacierają ręce, kiedy kolejna publikacja opłacana z pieniędzy polskich podatników pokazuje Polaków jako morderców Żydów. Tam nie ma miejsca na niuanse, na wyjaśnianie kontekstu: wojna i upadek państwa polskiego, zachęty płynące ze strony Niemców, bezprawie wywołane wojennym chaosem - wszystko to powodowało, że męty społeczne zaczęły w Polsce szkodzić ludziom na dużą skalę. Nie tylko Żydom, wydając ich i ograbiając, lecz także Polakom. Nie ma tego kontekstu. Jest za to pozostawianie ogólnego wrażenia, że okupowana Polska była dla Żydów piekłem z powodu nastawienia ogromnej części narodu polskiego. Dlatego Grabowski jest tak popularny w Niemczech, Żyję w Niemczech, przysłuchuję się tutejszej debacie publicznej, widzę, jaka atmosfera panuje wśród tutejszych badaczy. Polacy nie zdają sobie sprawy, jak ważny jest głos Grabowskiego w środowisku niemieckich historyków. To prawdziwa gwiazda! Ten człowiek przynosi im na tacy potwierdzenie tezy, że sprawcami Holokaustu byli „naziści” i... Polacy.

Naprawdę uważa pan, że jest aż tak źle? Rzeczywiście realne jest zagrożenie, że naziści

nigdy nie będą już Niemcami, a sprawcami Holokaustu staną się Polacy?

To zagrożenie jest jak najbardziej realne. Tak wygląda rzeczywistość, z którą na Zachodzie muszą się mierzyć Polacy. Wiele złego już się stało. Już jesteśmy postrzegani jako współsprawcy Holokaustu. Jeżeli nie będziemy temu skutecznie przeciwdziałali, to będziemy głównymi sprawcami Holokaustu. Będziemy stali zaraz obok nazistów. Albo sami zostaniemy tymi nazistami.

W PRL-owskiej Polsce był dowcip: Która propaganda była skuteczniejsza? Komunistyczna czy Goebbelsowska? Oczywiście, że komunistyczna. Gdyby propaganda Goebbelsowska była tak skuteczna jak komunistyczna, to Niemcy do dziś nie wiedzieliby, że przegrali wojnę. Paradoksalnie jednak niemiecka propaganda historyczna właśnie to osiągnęła! Dzisiaj Niemcy właściwie nie wiedzą, że przegrali wojnę. Oni generalnie uważają, że zostali „wyzwoleni” przez aliantów. Udało im się przewartościować tamten okres. Ta operacja z rzeczywistością historyczną nie ma nic wspólnego.

Ze sprawców robi się ofiary, a z ofiar sprawców. Stąd bierze się używanie słowa „naziści” i sformułowania „polskie obozy śmierci”.

Zdaję sobie sprawę z tego, że walka z tymi kłamstwami jest jak walka Dawida z Goliatem. Niemiecki potencjał narracyjny jest nieporównywalny z polskim, tym bardziej że w Polsce mamy ośrodki, które wspierają tę narrację. Mamy też na naszym rynku medialnym niemieckie koncerny, które robią z historii bezkształtną masę. Tymczasem fakty historyczne są po naszej stronie. Musimy przekonywać wszystkich do używania pojęcia „niemieckie zbrodnie”. Jeżeli to zaniedbamy, wówczas bardzo sobie zaszkodzimy.

Profesor Daniel Patrick Brown, amerykański historyk, autor książki „Piękna bestia. Zbrodnie SS-Aufseherin Irmy Grese”, przekonywa! mnie, że „naziści” nigdy nie przestaną być kojarzeni z Niemcami, a używanie pojęcia „niemieckie zbrodnie” oznacza, że „uwalniamy” od nich Austriaków.

Obawiam się, że prof. Brown nie docenia ludzkiej ignorancji. To dosyć naiwne spojrzenie. Austriacy wchodzili w skład III Rzeszy i również oni byli sprawcami masowych mordów, odgrywali dużą rolę w Holokauście. Oczywiście możemy mówić, że były to zbrodnie niemiecko-

Kłamstwo „polskich obozów śmierci”

Wpisany przez Cwi Mikulicki

Środa, 16 Czerwiec 2021 07:51 -

-austriackie, ale samo wskazywanie na Niemców jest jak najbardziej poprawne, bo przecież to oni byli motorem tych wszystkich nieludzkich okrucieństw. Austria to bardzo ciekawy przykład polityki historycznej. Ten kraj osiągnął mistrzowski poziom w odcinaniu się od własnej przeszłości. Austriacy mówią dziś o sobie, że są pierwszą ofiarą Hitlera i ostatnią ofiarą Stalina. Trzeba przyznać, że to absolutny majstersztyk.



Świat wciąż kłamie o obozach

Gdyby chcieć wypisać wszystkie przykłady, gdy ktoś na świecie posłużył się fałszywą i krzywdzącą dla narodu polskiego frazą „polskie obozy śmierci”, nie wystarczyłoby miejsca w tym dodatku

Był rok 2012, maj. Dyplomaci szykowali się na wzniosłą uroczystość ku czci wielkiego Polaka - pośmiertne uhonorowanie Jana Karskiego Prezydenckim Medalem Wolności, najważniejszym odznaczeniem państwowym w Stanach Zjednoczonych. Czar prysł, gdy prezydent Barack Obama podczas krótkiego przemówienia posłużył się określeniem „polski obóz śmierci”.

Haniebne słowa, które wywołały wówczas oburzenie wielu Polaków, co rusz pojawiają się na łamach największych mediów w wielu krajach świata. Mimo że MSZ już w roku 2004 rozpoczęło kampanię przeciw upowszechnianiu „wadliwych kodów pamięci” takich jak „polski obóz śmierci”, „polski obóz koncentracyjny”, „polskie komory gazowe”, „polska fabryka śmierci”. Zdarzają się

nawet takie określenia jak „polski Holokaust”, „polscy naziści”, „polskie ludobójstwo” czy „polskie zbrodnie przeciwko ludzkości”.

Tylko w latach 2008-2017 polscy dyplomaci musieli przeprowadzić ponad 1,4 tys. interwencji w tego typu sprawach, skutecznie egzekwując sprostowania w zagranicznych mediach. I chociaż w latach 2008-2010 ich liczba była mniej więcej stała [ok 100 rocznie), to już w 2013 r. liczba ta wzrosła do 106, w roku 2014 do 151, a w 2015 r. aż do 277. W latach 2016 i 2017 było ich odpowiednio 241 i 258. W 2018 r. liczba interwencji spadła do 217.

W roku 2019 polskie placówki zagraniczne interweniowały 136 razy, a w 2020 r. 99 razy.

Wśród państw, których media najczęściej wypisują wymagające interwencji bzdury, od lat przoduje Wielka Brytania. Na haniebnym podium fałszujących historię znajdują się też media amerykańskie oraz niemieckie. Kolejne miejsca w statystykach zajmują media francuskie, duńskie, hiszpańskie, słowackie czy włoskie,

W XXI w. szkalujące dobrą pamięć o Polakach określenia pojawiły się także w mediach austriackich, kanadyjskich, serbskich, irlandzkich, litewskich, izraelskich.

Wśród sprawców tych haniebnych pomyłek były tak znane redakcje jak „New York Times” [w 2011 r. redaktorzy z tego dziennika posunęli się nawet do tego, że opublikowali podpis pod zdjęcie, mówiący o „obozie koncentracyjnym Dachau w Polsce”), „Politico” (amerykański portal jedno ze zdjęć podpisał jako „mapę obozów koncentracyjnych Polski”), „The Guardian”, „Corriere della Sera”, „La Stampa”, a także największe niemieckie media na czele z takimi tytułami jak „Die Welt”, „Der Spiegel”, „Bild”, „Die Zeit”, „Siiddeutsche Zeitung” „Stern” czy „Focus”.

Udział w rozpowszechnianiu historycznych kłamstw miały też tak istotne agencje prasowe jak amerykańska Associated Press (w 2012 r. agencja w stylebooku zabroniła jednak swoim dziennikarzom używania takich określeń jak „polskie obozy śmierci”) czy niemiecka DPA, choć wydawałoby się, że Niemcy powinni dobrze wiedzieć, iż ich obozy prowadzone były przez niemieckich nazistów. Mimo to w 2010 r. w publikacji wydanej dla niemieckich szkół w nakładzie 800 tys. egzemplarzy pojawiło się określenie „polnische Konzentrationslager” („polski obóz koncentracyjny”).

O „polskich obozach” można też było przeczytać na stronach internetowych żydowskiego Centrum Szymona Wiesenthala.

- Kiedy w zagranicznej prasie czytam określenia „polskie obozy śmierci”, mam odczucie, że jest to określenie bardzo nie na miejscu i zależy nam na tym, żeby to zmienić - mówił w 2018 r. premier Morawiecki, podkreślając, że „sformułowanie »polskie obozy śmierci« jest obraźliwe dla Polaków i samo w sobie stanowi zaprzeczenie Holokaustu. Nie ma polskiej rodziny, która nie straciłaby bliskich podczas drugiej wojny światowej”.

Międzynarodowy Sojusz na rzecz Pamięci o Holokauście

(IHRA) zauważył zaś w opublikowanym na początku 2021 r. raporcie, że „znieszczenie pamięci o Holokauście jest podstępniejsze niż jej negowanie”. Jednym z przykładów znieszczenia pamięci jest zaś zacieranie odpowiedzialności nazistowskich Niemiec za utworzenie obozów koncentracyjnych oraz obwinianie za Holokaust innych narodów lub grup etnicznych, (jap)

„Polskie obozy” to rodzaj kłamstwa oświęcimskiego

Z mec. Szymonem Topą, radcą prawnym >jr Stowarzyszenia Patria Nostra w Olsztynie rozmawia Jacek Przybylski



JACEK PRZYBYLSKI: Wraz z mec. Obarą od lat z sukcesami walczy pan z używaniem w przestrzeni publicznej kłamliwego pojęcia „polskie obozy zagłady”. Stowarzyszenie wspomaga w sądach byłych więźniów niemieckich obozów zagłady walczących z niemieckimi redakcjami, które szkalują dobre imię Polski, jak wyglądają kulisy takich spraw?

SZYMON TOPA: Takie sprawy prowadzimy już od 2009 r. Od momentu wytoczenia pierwszego pozwu przeciw wydawcy „Die Welt” na prośbę Zbigniewa Osewskiego wiele się w tej materii zmieniło. Ponad 10 lat temu kwestia dochodzenia roszczeń z tytułu takich dóbr osobistych jak tożsamość narodowa czy godność narodowa była tematem obcym nauce prawa. Zagadnienie to na gruncie prawa cywilnego nie było badane, a prawnicy nie wypowiadali się na temat, kiedy może dochodzić do naruszenia tego typu dóbr. Przyjmowano bowiem wówczas, że zawsze wypowiedzi prowadzące do naruszenia dóbr osobistych powinny dotyczyć konkretnej osoby.

Najtrudniejsze podczas pierwszego procesu było więc przekonanie sądu, że chociaż autorzy używający określenia „polskie obozy koncentracyjne” nie wypowiadają się o konkretnej osobie, to godzą oni w indywidualne dobra osobiste konkretnych osób.

W tym czasie za modelowy sposób rozstrzygania sporów dotyczących zbiorowości uznawano wyrok w sprawie członków partii SLD, spośród których niektórzy poczuliby się dotknięci określeniem użytym przez jednego z polityków: „Płatni zdrajcy, pacholki Rosji”. Sąd Najwyższy uznał wówczas, że wypowiedź dotycząca pewnej zbiorowości nie może uzasadniać roszczeń przez jej członka. To przekonanie dominowało w orzecznictwie.

To przekonanie udało się panom zmienić. Czy obecnie każdy Polak, który poczuje się dotknięty użyciem określenia oczerniającego nasz naród, może już wystąpić z pozwem przeciw danej redakcji?

Zdołaliśmy w orzecznictwie sądów powszechnych przekuć pogląd, że są pewne wypowiedzi dotyczące całej narodowości, które godzą w indywidualne dobra każdego członka tej wspólnoty narodowej. Konkretnie Sąd Apelacyjny w Warszawie uznał, że wypowiedź, w której padają określenia „polskie obozy zagłady” czy „polskie obozy koncentracyjne”, jest nie tylko ewidentnie niezgodna z prawdą, lecz także może wzbudzić u polskiego obywatela poczucie, że to on jest pomawiany o niegodne zachowanie. Sąd Apelacyjny w Warszawie przyjął więc, że każda osoba, która czuje się Polakiem i czuje przynależność do polskiej wspólnoty narodowej, może się taką wypowiedzią w sposób obiektywny poczuć urażona. Fakty są bowiem takie, że obozy

koncentracyjne są nie tylko symbolem Holokaustu, lecz także miejscem kaźni Polaków.

Nie każdy sąd tak jednak do tego podchodzi.

To prawda. Można znaleźć inny pogląd. Sąd Apelacyjny w Krakowie przykładowo przyjął pogląd, że tego typu wypowiedzi godzą jedynie w dobra osobiste osób, które osobiście doświadczyły kaźni w danym obozie, ewentualnie członków ich rodzin.

Nie można więc powiedzieć, że wystarczy wykazać przywiązanie do polskiej tradycji narodowej, aby móc złożyć pozew w sprawie o „polskie obozy”. Nie można mieć bowiem pewności, czy dany sąd podzieli pogląd Sądu Apelacyjnego w Warszawie czy Sądu Apelacyjnego w Krakowie.

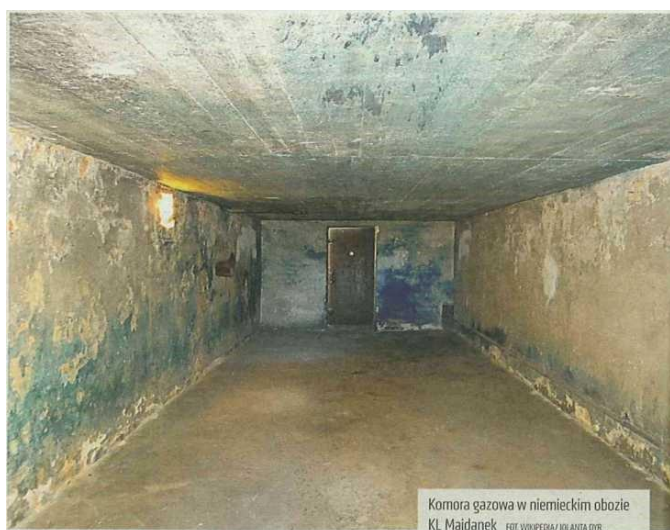
Czy po ponad dekadzie prowadzenia tego typu spraw może pan stwierdzić, że tego rodzaju fałszujące historię określenia pojawiają się już rzadziej, czy to nadal jest problem na dużą skalę?

To złożone zjawisko społeczne. To tematyka, która budzi zainteresowanie lingwistów, socjologów, politologów czy historyków. Powstają wreszcie prace naukowe na ten temat. Myślę, że mają lepsze predyspozycje do oceny skali problemu „polskich obozów” i jego znaczenia. Ja patrzę na ten problem z punktu widzenia prawnego. Dla nas dużym postępem jest to, że na gruncie sądów powszechnych w sferze cywilnoprawnej ukształtował się pogląd, że jest coś takiego jak godność narodowa oraz poczucie przynależności narodowej i jest pewna sfera tych wartości, która zasługuje na ochronę prawną. Wskazaliśmy instrument prawny, który może być wykorzystywany przez innych, a nawet dalej rozwijany. Niepokoi mnie jednak, czy te wartości dostrzeżone na gruncie polskiego sądownictwa będą chronione również na poziomie prawa europejskiego.

Dlaczego?

Do tej pory, formułując pozwy w sprawie „polskich obozów”, powoływaliśmy się na przepisy unijnego rozporządzenia dotyczącego jurysdykcji sądów cywilnych funkcjonujących na terenie Unii Europejskiej, aby uzasadnić możliwość pozwania zagranicznego wydawcy w Polsce. Na

gruncie tych przepisów TSUE sformułował pogląd, że w sprawach o naruszenie dóbr osobistych, w których naruszenie nastąpiło w wyniku wykorzystania Internetu, osoba poszkodowana może dochodzić takiego roszczenia w państwie, w którym ma swoje centrum spraw życiowych, czyli w praktyce najczęściej w miejscu swojego zamieszkania. Sądy polskie dotychczas to uznawały. W 2019 r. jednak Sąd Apelacyjny w Krakowie, na wniosek pełnomocników niemieckiego wydawcy pozwanego w sprawie o „polskie obozy”, zdecydował się zwrócić do unijnego Trybunału Sprawiedliwości właśnie z pytaniem prejudycjalnym, czy tego typu sprawy mogą być w ogóle rozpatrywane przez polskie sądy.



Teraz czekamy na rozstrzygnięcie trybunału. Niepokojące jest jednak to, że Komisja Europejska sformułowała stanowisko przychylne niemieckim wydawcom, choć jest to w sprzeczności z dotychczasową zasadą, aby wspomniane przepisy jurysdykcyjne interpretować na korzyść pomówionego (pokrzywdzonego). Gdy trybunał podzieli ten pogląd, będzie to oznaczać, że teraz każdy, kto poczułby się urażony użyciem określenia „polskie obozy” przez np. niemiecką redakcję, będzie musiał złożyć pozew przed niemieckim sądem, czyli w miejscu, gdzie redakcja ma swoją siedzibę.

I nie miałyby wówczas znaczenia nawet to, że szkalujące dobre imię Polaków określenie pojawiło się np. na polskojęzycznej stronie danego wydawcy?

Przy przyjęciu poglądu forsowanego przez prawników reprezentujących niemieckich wydawców nie będzie miało to znaczenia. Niezależnie od tego, w jakim języku pojawiłoby się to określenie, kluczowa będzie siedziba wydawcy. Jeśli więc redakcja przypisująca Polakom utworzenie Auschwitz miała siedzibę we Włoszech, to sprawę trzeba by prowadzić przed włoskim sądem, jeśli we Francji - to przed francuskim etc.

Wygrana przed polskim sądem niekiedy okazuje się niewystarczająca. Niemiecki Federalny Trybunał w Karlsruhe odmówił uznania wykonalności prawomocnego wyroku Sądu Apelacyjnego w Krakowie, a Komisja Europejska nie chce interweniować mimo rażącego łamania prawa europejskiego przez Niemcy. Czy te procesy miały więc w ogóle sens, skoro sprawcy kolejny raz mogą uniknąć odpowiedzialności?

Mimo wszystko tak. Te pozwy nie były pochodną chłodnego racjonalnego myślenia. Jak wspomniałem, gdy ponad 10 lat temu składaliśmy pierwsze pozwy, dominujące wówczas poglądy w orzecznictwie i doktrynie prawnej wskazywały, że nasze działania są niecelowe, bo takie roszczenia o pomówienie zbiorowości raczej nie były uznawane. Złożone pozwy były więc wyrazem frustracji i reakcją na bezsilność dotychczasowych starań państwa i służb dyplomatycznych w walce o prawdę. Zwykli obywatele stwierdzili, że muszą wyrazić swój zdecydowany sprzeciw wobec fałszowania historii. Nie mieli zaś innego instrumentu wyrażania swojego sprzeciwu niż właśnie pozwy.

Intencją tych procesów było pokazanie, że pisanie o „polskich obozach” nie tylko uderza w wizerunek Polski, lecz także wywołuje poczucie krzywdy u wielu Polaków, przed którym powinni być chronieni. To się w jakimś stopniu udało.

Ważne jest też to, że poczucie krzywdy i oczekiwanie Polaków co do przeciwdziałania fałszowaniu ich historii wreszcie zaistniały w świadomości niemieckich wydawców i dziennikarzy. Naszą intencją było bowiem skłonienie niemieckich redakcji - zakładając ich dobrą wolę - do tego, aby z większą uwagą podchodziły do opisywania historii obozów koncentracyjnych. I doprowadzenie do tego, aby niemieccy wydawcy mieli świadomość, że jeśli będą pisać nieprawdę, to zostaną pozwani i będą musieli fatygować się do sądu, w tym ponieść koszty procesu etc. W wyniku pozwów rozwinęła się również dyskusja na temat tego, jak należy chronić dobre imię Polski i jakimi instrumentami prawnymi dysponujemy, aby przeciwdziałać fałszowaniu historii. Jestem przekonany, że gdyby zasięg podobnych działań prawnych był większy i wykraczał poza niemieckich wydawców, być może efekt byłby jeszcze lepszy.

Oczywiście, niemieccy wydawcy nie są bierni i podejmują działania, aby chronić się przed tego typu pozwami. Jednym z nich jest właśnie próba zmiany wykładni prawa unijnego w zakresie jurysdykcji, tj. spowodowanie, że polski sąd skierował wspomniane zapytanie prejudycjalne. To bardzo ważny sygnał dla polskich prawników i polityków, że trzeba się mobilizować i również zadbać o korzystną dla polskich interesów wykładnię prawa. Wyroki wydane w indywidualnych sprawach mają nieraz charakter precedensowy. I tak właśnie dzieje się w sprawach o „polskie obozy”. Trzeba przekonywać europejskich sędziów o słuszności poglądów przyjmowanych przez polskie sądy. Jest to zadanie dla każdego, któremu nie jest obojętne, czy będzie można

wykorzystywać pozwy cywilne jako środek do przeciwdziałania fałszowaniu historii obozów zagłady.

Czy z pańskiego doświadczenia wynika, że osoby, które używają określenia „polskie obozy śmierci”, robią to z premedytacją, czy jest to jedynie wynik ignorancji lub bezmyślności?

Dla nas, Polaków, to jest sprawa oczywista. Mam głębokie przekonanie, że taka powinna być również dla niemieckich dziennikarzy. Rozumiem jednak, że w Niemczech świadomość historyczna nie jest wcale taka sama jak w Polsce czy jaka była za zachodnią granicą lata temu. Jeśli młodzi Niemcy przez cały czas są uczeni, również przez doświadczonych kolegów z redakcji, że pisze się o „polskich obozach” czy „nazistowskich obozach”, to nie dziwmy się, iż tak właśnie robią. Po prostu tak zostali nauczeni.

Celem naszych procesów jest zwrócenie uwagi redakcjom, że ich zadaniem jest, aby takie nieprawdziwe, godzące w poczucie wartości Polaków określenia wyłapywać i nie dopuścić do tego, by one się pojawiały. Tak samo jak dbają o to, aby nie nazywać obozów zagłady „niemieckimi”.

Czy można stwierdzić, że składane przez Stowarzyszenie Patria Nostra pozwy sądowe zahamowały proces zakłamywania historii? Chyba żadne z niemieckich mediów, którym wytoczyli panowie procesy, nie posłużyło się już więcej szkalującym Polaków określeniem, choć przed pozwami np. stacja ZDF użyła tego kłamliwego zwrotu kilkakrotnie.

W przypadku „Die Welt” czyli pierwszego tytułu, którego wydawca został przez nas pozwany, nawet w trakcie procesu na jego łamach pojawiły się określenia, za które został pozwany. Potem nie odnotowaliśmy już jednak przypadków, aby „Die Welt” pisał o „polskich obozach”.

Warto odnotować, że niemieckie redakcje wcale nie są w czołówce tych, które najczęściej używają tego typu określeń. W przypadku niemieckich redakcji wydaje się to dużo bardziej krzywdzące i niezrozumiałe. Najczęściej w Europie o „polskich obozach” piszą w Wielkiej Brytanii. Często takie określenia padają też we włoskiej czy francuskiej prasie. I właśnie przeciwko tym redakcjom winny być również prowadzone procesy.

Jednym z argumentów często wykorzystywanych przez osoby używające tego kłamliwego określenia jest też to, że przymiotnik „polskie” nie wskazuje sprawców, lecz jedynie przypisuje obozom cechę geograficzną. Wierzy pan w takie wytłumaczenie?

To oczywiście absurdalny argument, który podnosi się wówczas, gdy nie ma się już żadnych innych. Określenie „polski obóz koncentracyjny” jest po prostu nieprawdziwe. Jego stosowanie pod względem logicznym, historycznym i faktycznym nie ma żadnego uzasadnienia. Nie trzeba być lingwistą, aby zrozumieć, że kiedy się mówi o czymś „polskie”, nie chodzi o geografie, ale o wskazanie pewnej przynależności. Z tego powodu mówi się, że na terenie Polski znajduje się niemiecka ambasada, a nie „polska ambasada Niemiec”.

Poza tym często ci dziennikarze, którzy używają argumentu, że przymiotnik nadaje tylko cechę geograficzną, jednocześnie obawiają się nazwać obozy „niemieckimi” i zamiast tego wolą posługiwać się określeniem „nazistowskie”. Dlaczego? Ponieważ doskonale wiedzą, że ten przymiotnik nie określa tylko miejsca, gdzie powstały obozy, lecz także to, kto je utworzył.

Nie można więc pozwolić na to, aby dziennikarze obawiali się pisania o „niemieckich obozach”, bo nie chcą, by kojarzyły się one z Niemcami, a jednocześnie nie widzieli żadnego problemu w pisaniu o „polskich obozach”. Niestety, zdarzało się nawet, że sformułowaniem „polskie obozy” były określane obozy, które nie były położone na terenach okupowanej Polski.

Jak można z tym zjawiskiem walczyć?

Jestem przekonany, że instrumenty prawne to za mało. Potrzebna jest edukacja. Potrzebna jest świadoma, dobrze zorganizowana kampania społeczna, która będzie kształtować zagraniczną opinię publiczną w taki sposób, że obozy zagłady należy kojarzyć również z miejscem kaźni Polaków, a nie tylko miejscem, w którym Polacy rzekomo zabijali Żydów. Wiele państw aktywnie prowadzi politykę historyczną, wykorzystując do tego różne środki oddziaływania na opinię publiczną. Prawo może być jedynie uzupełnieniem tych działań. Polityka historyczna Izraela to nie tylko procesy, ale przede wszystkim tworzenie na całym świecie ośrodków naukowych i edukacyjnych zajmujących się Holokaustem. Polska oczywiście musi znaleźć swój sposób na to, aby mówić światu o swojej historii.

Czy w takim razie głośna wygrana w sprawie cywilnej, zakończona zasądzeniem wysokiego odszkodowania, sprawiłaby, że wydawcy zaczęli baczniej się temu problemowi przyglądać?

Oczywiście, że tak. Trzeba jednak się zastanowić, na ile taki cel jest realny do osiągnięcia. Jako prawnicy oceniamy, że wywalczenie wysokiego zadośćuczynienia w tego typu sprawach jest przed polskimi sądami w zasadzie nierealne.

W polskim prawie nie ma jak w Ameryce instytucji punitive damages, czyli rodzaju świadczenia zmierzającego do ukarania osoby naruszającej cudze dobra. W polskim prawie odszkodowanie i zadośćuczynienie ma głównie charakter kompensacyjny, a nie prewencyjny (odstraszający).

A gdyby taki proces wytoczyć w Ameryce?

To co innego. Jeśli ktoś by się tego podjął i udałoby mu się wywalczyć wysokie zadośćuczynienie, to jestem przekonany, że miałoby to duży wpływ na walkę z takimi określeniami.

Wiele państw przewiduje kary za kłamstwo oświęcimskie. Czy pisanie o „polskich obozach” - które to określenie nie tylko jest nieprawdziwe, lecz także zupełnie zmienia wyobrażenie o odpowiedzialności za zbrodnie niemieckich nazistów - nie jest jednak przykładem właśnie tego typu negacjonizmu? Czy można stwierdzić, że używanie takiego szkalującego Polaków określenia stanowi formę rewizjonizmu?

W moim przekonaniu mówienie o „polskich obozach koncentracyjnych” jest stwierdzeniem nieprawdy, a w sytuacji, gdy ktoś to robi świadomie, jest kłamstwem. Można więc powiedzieć, że jest to forma negacjonizmu.

Warto pamiętać, że stanowisko Polaków w tym zakresie nie jest odosobnione. Międzynarodowy Sojusz na rzecz Pamięci o Holokauście (IHRA), który zajmuje się upamiętnieniem ofiar Holokaustu, ma wypracowaną definicję negacjonizmu i zgodnie z nią próba przypisywania utworzenia obozów koncentracyjnych innym narodom niż Niemcy jest uznawana za formę

Kłamstwo „polskich obozów śmierci”

Wpisany przez Cwi Mikulicki
Środa, 16 Czerwiec 2021 07:51 -

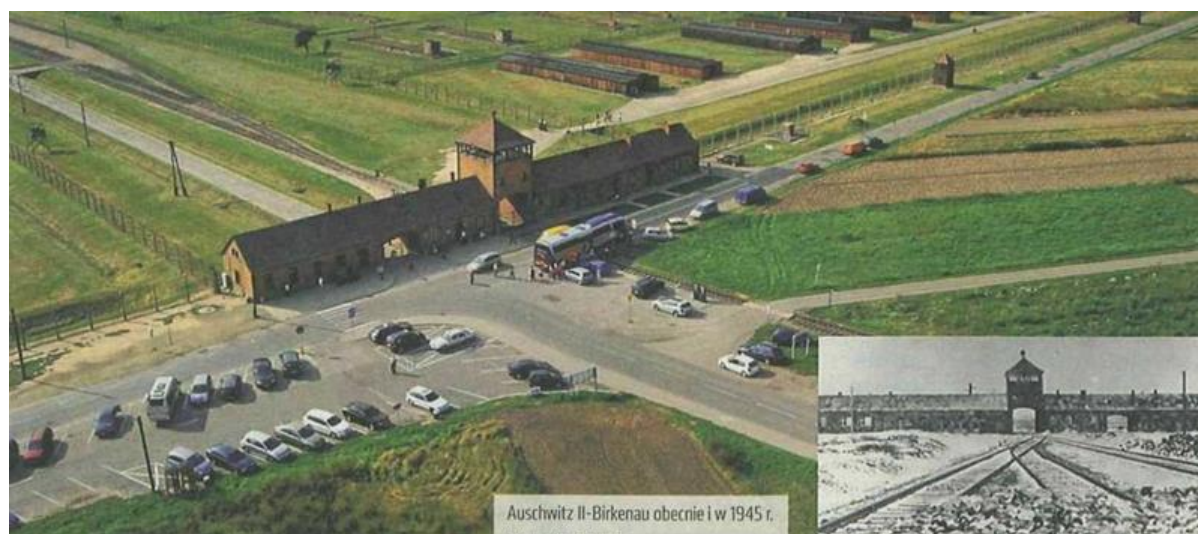
zniekształcenia historii i prawdy historycznej o Holokauście. To bardzo mocny argument, który polscy politycy powinni wykorzystywać, by przekuć tę definicję na konkretne rozwiązania prawne. Generalnie przyjmuje się bowiem, że z kłamstwem oświęcimskim mamy do czynienia wówczas, gdy ktoś mówi, że to nie Niemcy są odpowiedzialni za Holokaust.

Wprawdzie niektórzy twierdzą, że określenie „polskie obozy” nie jest zaprzeczeniem sprawstwa niemieckiego, ale ja się z tym nie zgadzam. Uważam, że taka wypowiedź wprowadza w błąd odnośnie do tego, kto jest sprawcą, odsuwa odpowiedzialność od Niemców, a tym samym jest fałszowaniem historii i powinna być traktowana jak rodzaj kłamstwa oświęcimskiego, a więc powinna być karana w podobny sposób jak wypowiedzi, których autorzy negują istnienie w przeszłości obozów koncentracyjnych. Ukształtowanie takiego przekonania w społeczności międzynarodowej wymaga jednak pracy.

Polski dzwon aklarmowy

Piotr Włoczyk

Szczegółowe raporty z niemieckich „fabryk śmierci” i wstrząsające relacje świadków - Polacy nadaremnie starali się przekonać aliantów do podjęcia próby powstrzymania Zagłady



Ostatnie raporty przynoszą przerażający obraz sytuacji, w jakiej znaleźli się Żydzi polscy. Nowe metody masowej rzezi wdrożone w ciągu kilku ostatnich miesięcy potwierdzają fakt, że niemieckie władze zamierzają w sposób systemowy eksterminować żydowską populację Polski, a także wiele tysięcy Żydów, których niemieckie władze deportowały do Polski z zachodnich i centralnych regionów Europy, również z samej niemieckiej Rzeszy” - pisał w grudniu 1942 r. polski minister spraw zagranicznych Edward Raczyński do rządów państw sygnatariuszy Deklaracji Narodów Zjednoczonych. „Polski rząd uważa za swój obowiązek przekazanie rządów wszystkich cywilizowanych państw poniższe, w pełni udokumentowane informacje otrzymane z Polski w ciągu ostatnich tygodni, które jasno pokazują nowe metody eksterminacyjne używane przez niemieckie władze”.

„Nota Raczyńskiego” była pierwszym oficjalnym raportem na temat dokonywanego przez Niemców Holokaustu. Polskiemu rządowi na uchodźstwie zależało nie tylko na poinformowaniu o Zagładzie, lecz także na spowodowaniu konkretnej reakcji. Jak podkreślał w nocie minister Raczyński, poza potępieniem zbrodni Polacy oczekiwali od aliantów „znalezienia skutecznych środków, po których można by się spodziewać, że powstrzymają Niemcy od dalszego stosowania metod masowej zagłady”.

Polski rząd na uchodźstwie stworzył notę na podstawie materiałów dostarczonych do Londynu przez kuriera i emisariusza Polskiego Państwa Podziemnego Jana Karskiego [właściwie Jana Kozińskiego - Karski był pseudonimem], Raport Karskiego na temat zagłady Żydów powstał na zlecenie prof. Cyryla Ratajskiego, delegata Rządu na Kraj. Była to relacja z wizyty w getcie warszawskim, a także w obozie przejściowym w Izbicy, do którego Karski dostał się przebrany w mundur strażnika ukraińskiej formacji pomocniczej SS.

„Widziałem straszne rzeczy. Rampa kolejowa, wywózka z obozu - opisywał po latach tamten dzień Jan Karski.

- Żandarmi, esesmani, masy Żydów. Nie wiem - tysiąc, półtora tysiąca. Dzieci, kobiety, starcy. Smród, rozpacz, krzyki: »Raus, raus!«. Wpychanie kolbami do pociągu, jak ktoś się potknął, to kolbami ich bili. Przerażenie. Obraz nie z tego świata, bydlą tak ludzie nie traktują [...]. Ostatnich zmuszali do wdrapywania się na głowy tych, co weszli wcześniej”.

OBOJĘTNY JAK ROOSEVELT

Polskie władze wysłały następnie Karskiego z Londynu do USA. Emisariusz spotykał się wówczas z najważniejszymi ludźmi w Waszyngtonie. Nie tylko opowiadał im o sytuacji

Polskiego Państwa Podziemnego i zagrożeniu ze strony Związku Sowieckiego, lecz także tłumaczył skalę mordów na narodzie żydowskim. Niemal za każdym razem spotykał się jednak z kompletnym niezrozumieniem. „Panie Karski, człowiek taki jak ja, który rozmawia z człowiekiem takim jak pan, musi być całkowicie szczery - powiedział Felix Frankfurter, sędzia amerykańskiego Sądu Najwyższego w rozmowie z Janem Karskim.

- Toteż ja mówię: nie jestem w stanie uwierzyć w to, co mi pan powiedział”. Frankfurter - sam z pochodzenia Żyd - był tylko jednym z wielu członków amerykańskiej elity, którzy nie chcieli dać wiary relacji Karskiego na temat Zagłady.

Pod koniec lipca 1943 r. Jan Karski spotkał się wreszcie z Franklinem Dela- no Rooseveltem.

Ich rozmowa trwała półtorej godziny. Według relacji Karskiego Roosevelt miał mu przerwać relację na temat zagłady Żydów, mówiąc: „Policzymy się z Niemcami po wojnie. Panie Karski, proszę mnie ewentualnie wyprowadzić z błędu, ale czy Polska jest krajem rolniczym? Czy nie potrzebujecie koni do uprawy waszej ziemi?”.

Przed wyjazdem Karskiego z okupowanego kraju żydowscy działacze mówili mu, że wiedzą, iż bardzo trudno będzie przeszkodzić Niemcom w dokonaniu Zagłady. Chcieli jednak, by Zachód podjął jakąkolwiek próbę: „Niech żaden z przywódców Narodów Zjednoczonych nie będzie mógł powiedzieć, że nie widział, że jesteśmy w Polsce mordowani i że tylko z zewnątrz można nam przyjść z pomocą”.

Sam Karski nie pozostawiał żadnych wątpliwości, jeżeli chodzi o przyszłość Żydów zamieszkujących tereny okupowane przez III Rzeszę. „Jeżeli Niemcy nie zmienią metod wobec ludności żydowskiej, jeśli nie będzie interwencji aliantów, to w ciągu półtora roku ludność żydowska przestanie istnieć” - alarmował aliantów.

Polskie Państwo Podziemne przez cały okres okupacji słało na Zachód raporty na temat sytuacji Żydów. Opracowywano je na podstawie informacji dostarczonych przez tysiące Polaków, którzy często ryzykowali własne życie, by dotrzeć do miejsc kaźni i przekazać te relacje w ręce wywiadu AK. Wśród zalewu raportów na temat Holokaustu, jakie docierały z Polski do rządu na uchodźstwie, a stamtąd do aliantów, szczególna uwaga należy się materiałom przygotowanym przez rtm. Witolda Pileckiego. Polskiego żołnierza, który zgłosił się

do wykonania misji wywiadowczej w obozie Auschwitz. Jednym z jego zadań miało być zorganizowanie tam struktur ruchu oporu. Rotmistrz Pilecki pozwolił się aresztować podczas łapanki na ulicach Warszawy. 21 września 1940 r. został przewieziony do Auschwitz, gdzie otrzymał numer 4859. W obozie tym więziony był do 27 kwietnia 1943 r., gdy - wraz z dwoma innymi polskimi więźniami - uciekł stamtąd. Jeszcze w trakcie uwięzienia rtm. Pilecki przemycał na zewnątrz informacje o sytuacji w obozie. Po wydostaniu się na wolność przystąpił do spisywania obszernego raportu na temat Auschwitz.

„Tuż obok, koło nas, na placu »pracowały« dwa walec - pisał rtm. Pilecki. - Chodziło niby o równanie terenu. Pracowały one jednak na wykańczanie ludzi, którzy je ciągnęli. W jeden, mniejszy, wprężnięci byli księża z dodaniem kilku innych więźniów-Polaków, do liczby 20-25. W drugi, większy, wprężniętych było około 50 Żydów. Na jednym i drugim dyszlu stał Krankemann i inny jakiś kapo, którzy wagą swego ciała zwiększali ciężar dyszla, wgniatając go w karki i ramiona więźniów ciągnących walec. Od czasu do czasu kapo lub blokowy Krankemann z filozoficznym spokojem opuszczał kij na czyjaś głowę, uderzał to lub inne pociągowe zwierzę - więźnia z taką siłą, że nieraz kładł go trupem od razu lub omdlałego wtrącał pod walec, bijąc resztę więźniów, by się nie zatrzymywała. Z tej fabryczki trupów w ciągu dnia wielu wyciągano za nogi i układano rzędem - do przeliczenia w czasie apelu”.

BOMBY 90 KM OD AUSCHWITZ

Niestety, polskie apele w sprawie Holokaustu spotykały się najczęściej z obojętnością Londynu i Waszyngtonu. Kwestię tę zbadał gruntownie amerykański historyk Holokaustu David S. Wyman. Efektem jego pracy była książka „Pozostawieni swemu losowi. Ameryka wobec Holokaustu 1941-1945”.

„Niemieckie panowanie nad większością obszaru Europy sprawiło, że najbardziej nawet zdecydowana akcja aliantów nie zdołałaby ocalić więcej niż jednej trzeciej tych, których skazano na eksterminację - pisał Wyman w swojej książce. - Ale poważne zaangażowanie się w akcję ratowania ofiar z pewnością uratowałoby życie setkom tysięcy tych ludzi, i to bez narażania na uszczerbek wojennego potencjału państw sprzymierzonych. Dokumenty dowodzą wyraźnie, że taką kampanię można by podjąć tylko w przypadku, gdyby zainicjowały ją Stany Zjednoczone. Ameryka zaś nie uczyniła w tej sprawie nic, aż po finalną fazę wojny, a nawet wtedy, kiedy z sukcesem podjęto takie działania, wyniki ich były nader ograniczone”.

Jedną z najczęściej podnoszonych kwestii podczas debaty na temat możliwości wpłynięcia na skalę Zagłady jest bombardowanie torów kolejowych prowadzących do Auschwitz i samych komór gazowych. Alianci nigdy się na to nie zdecydowali.

„W roku 1944 amerykański Departament Wojny odrzucił kilka apeli o zbombardowanie komór gazowych w Oświęcimiu i linii kolejowych wiodących do obozu, tłumacząc, że akcje takie wyłączyłyby znaczną część sił lotniczych z działań na innych, decydujących dla przebiegu wojny terenach - pisał Wyman. - Ale zaledwie kilka miesięcy po tej wypowiedzi dokonano kilku zmasowanych nalotów bombowych na cele przemysłowe odległe od Oświęcimia o niecałe 90 kilometrów”.

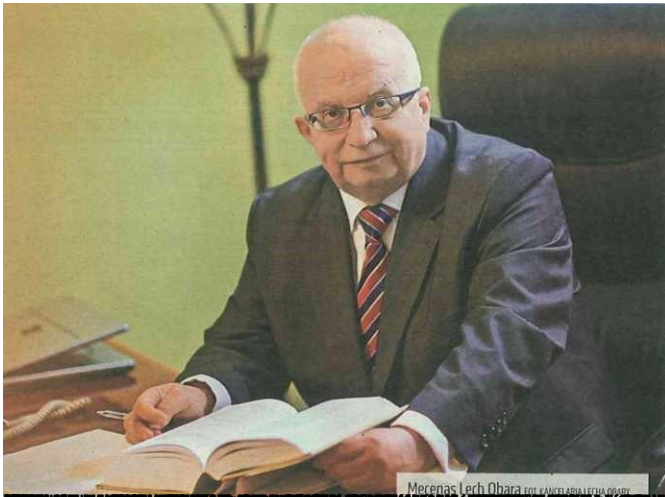
Kłamstwa na wokandzie

Radosław Wojtas

Przecieranie nieznanych ścieżek prawnych, batalie małych kancelarii z gigantycznymi koncernami medialnymi, zmuszanie zagranicznych redakcji do prostowania fałszerstw. Tak wyglądają kulisy walki o prawdę na temat naszej historii

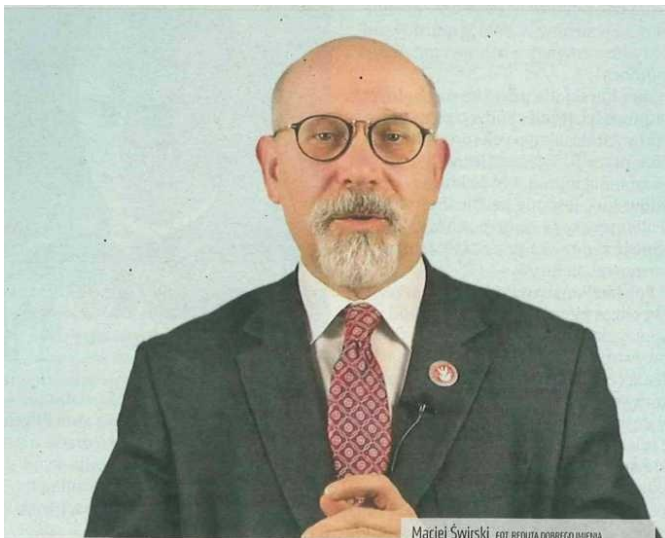
Co mnie motywowało? Chyba przeważało to, że miałem dość poczucia bezradności, gdy ktoś na świecie używał określeń „polskie obozy koncentracyjne” - mówi radca prawny Lech Obara. - Pojawiło się poczucie wstydu, że jesteśmy prawnikami, mamy w rękach narzędzia, których używamy w walce o różne dobra osobiste. Wiedzieliśmy, że jakieś dobro, jeszcze wtedy nienazwane, bo nie było takich procesów, jest naruszane, a nikt się tym nie zajmuje - ani państwo, ani duże kancelarie mające setki pracowników i zaplecze eksperckie. A poza tym sam czułem się tym osobiście dotknięty. Uznaliśmy, że to jest nasze zadanie, nasza misja - dodaje założyciel Stowarzyszenia Patria Nostra, którego celem stało się łączenie byłych więźniów obozów koncentracyjnych, ich potomków i przedstawicieli zawodów prawniczych.

JAK DAWID Z GOLIATEM



Mecenas Lech Obara

GRA NA CZAS



Maciej Świrski

W procesach wytaczanych przez byłych więźniów obozów koncentracyjnych pozwani wykorzystują często nie tylko prawne kruczki i prawnicze sztuczki, lecz także... nieubłagane prawa biologii. - Podejrzewam, że Niemcy grają na zwłokę. Pewnie liczą, że nie dożyję końca procesu i sprawa się rozwiąże - mówił w 2015 r. Karol Tendera, były więzień Auschwitz, który pozwał telewizję ZDF za to, że 1 lipca 2013 r. na jej portalu pojawiło się zdanie: „Odkrycie polskich obozów zagłady na Majdanku i w Oświęcimiu w lipcu 1944 r. i styczniu 1945 r.”

A media, obserwując działania medialnego giganta i jego prawników, pytały wprost: „Czy niemiecki sąd i ZDF czekają na śmierć polskiego więźnia Auschwitz?”.

Karol Tendera stał się symbolem walki z „polskimi obozami”. Przed polskim sądem mówił: „Byłem w trzech obozach i we wszystkich wieszali, bili, katowali i palili Niemcy, nie Polacy. Nie wolno dać się zakrzyczeć, że to była pomyłka, ja tego nie zaakceptuję i nie zgadzam się na to!”.

Sąd Apelacyjny w Krakowie nakazał telewizji ZDF przeprosić byłego więźnia Auschwitz na swoich stronach internetowych, jednak stacja, nie chcąc podporządkować się temu wyrokowi, próbowała przenieść spór na niemiecki grunt. Początkowo nieskutecznie, ale ZDF zwróciło się nawet do najwyższej instytucji sądowej w niemieckim systemie prawnym, czyli Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe, który orzekł, że stacja nie musi się podporządkowywać wyrokowi z Polski. - Odwołaliśmy się do niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego, jednak ten z uwagi na śmierć Tendery uchylił się od rozstrzygania. Przed nami droga odwołania do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, którą wykorzystujemy - mówi Lech Obara.

W sprawie Karola Tendery interpelowali polscy europarlamentarzyści, Polacy ślali listy, na niemieckojęzycznych profilach publikowali grafiki przypominające o tym, że to Niemcy odpowiadają za obozy śmierci, Polonia z Chicago zorganizowała przejazd przez Stany Zjednoczone ciężarówką z banerem: „German Death Camps”. W 2017 r. Fundacja Tradycji Miast i Wsi koordynowała akcję, w ramach której do Niemiec pojechał wielki podświetlany baner z napisem: „Death Camps Were Nazi German”. Prezentowany był między innymi pod siedzibą telewizji ZDF, a później m.in. w Brukseli i Londynie.

Karol Tendera nie doczekał wykonania wyroku, zmarł 1 października 2019 r. Wiosną ubiegłego roku warszawski sąd apelacyjny zadał Trybunałowi Sprawiedliwości Unii Europejskiej pytanie prejudycjalne o to, który sąd - czy jak dotychczas polski, czy może raczej niemiecki - ma prawo rozpatrywać sprawy tzw. polskich obozów śmierci? „Po raz pierwszy w historii udało się pełnomocnikom niemieckiego wydawcy skłonić polski sąd do podjęcia próby złamania ugruntowanej linii orzecznictwa w tej kwestii” - komentuje kancelaria Lecha Obara, która wraz z rządem broni wykładni TSUE.

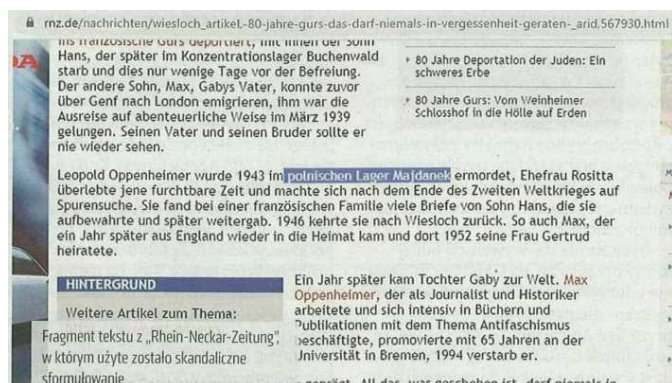
Za kilka miesięcy ma zapaść w tej kwestii ostateczny wyrok, ale 23 lutego rzecznik generalny TSUE Michał Bobek stwierdził, że polski sąd sam powinien decydować, czy ma jurysdykcję w takich sprawach. W zdecydowanej większości przypadków wyroki TSUE pokrywają się z opiniami rzecznika generalnego.

Ostatnio w sprawie Tendera-vs ZDF na forum Rady Europy interpelowała Iwona Arent, delegatka do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Pytała: „Podczas niemieckiej prezydencji w Radzie Europejskiej niemiecki sąd orzekł, że niemiecka telewizja publiczna ZDF nie musi przeproszać pana Karola Tendety - więźnia niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz - za użycie wobec niego i innych byłych więźniów kłamliwego i raniącego sformułowania. Sąd niemiecki postąpił w sposób sprzeczny z prawem europejskim. Byliście zobligowani prawem UE do uznania wyroku polskiego sądu w tej sprawie nakazującego przeprosiny. Moje pytanie brzmi: Czy zasada państwa prawa i uznawania wyroków dotyczy

również Niemiec? Człowiek, który był katowany w Auschwitz przez Niemców, może być bezkarnie znieważany po wielu latach w niemieckiej telewizji publicznej. Czy to jest sprawiedliwość i praworządność?”.

- Uważam, że po tylu latach, jakie upłynęły od wojny, ludzie powinni już dobrze wiedzieć, czym były niemieckie obozy koncentracyjne i zagłady. Moja metoda postępowania jest taka, że zawsze najpierw pytam, co miała na myśli osoba, która nazwała obozy „polskimi”. Trzeba rozmawiać i wyjaśniać. Najgorzej, jeśli w grę wchodzi emocje, bo wiadomo, do czego one prowadzą - mówi Stanisław Zalewski, były więzień obozu Auschwitz-Birkenau, prezes Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. - Trzeba jednak odróżnić działania komercyjne. Media czasami specjalnie wywołują skandale, żeby było o nich głośno. Prasa musi być poczytna, musi podawać sensację, żeby ludzie byli zaciekawieni i żeby ludzie tę prasę kupowali i czytali - dodaje prezes związku, który w 2018 r. złożył pozwy przeciw wydawcom gazety i rozgłośni radiowej z Bawarii. W ich internetowych publikacjach nazwano „polskimi obozami” niemieckie obozy zagłady w Sobiborze, Treblince i Bełżcu.

TYSIĄCE SPROSTOWAŃ



Walką z próbami zakłamywania historii zajmuje się Fundacja Reduta Dobrego Imienia - Polska Liga przeciw Zniesławieniom. Wśród spraw, którymi zajmowała się Reduta, za przełomową uznać można tę, którą jej założyciel i prezes Maciej Świrski wytoczył niemieckiej gazecie internetowej „Frankfurter Rundschau” za artykuł, w którym sugerowano, że Zagłada nie była czynem czysto niemieckim, ale współodpowiedzialność spoczywa także na Polakach. - Sąd Okręgowy w Warszawie przyznał mi rację. Po raz pierwszy przeproszony miał zostać Polak urodzony po drugiej wojnie światowej, którego wydarzenia z lat 60 i 1939-1945 bezpośrednio nie dotyczyły.

Sąd polski przyznał, że mam legitymację czynną i mimo że urodziłem się już po wojnie, to jako Polak mam prawo interweniować w takich sprawach. To był ten przełom w doktrynie i to jest ten nasz sukces. Reduta wspierała osiem wygranych procesów z różnymi osobami

zniesławiającymi Polaków. Ostatni proces wspierany przez Redutę to głośna sprawa Filomena Leszczyńska vs Jan Grabowski i Barbara Engelking, gdy udało się udowodnić nierzetelność tych historyków - mówi Maciej Świrski.

Podkreśla, że duża część aktywności Reduty to działania podejmowane bez rozgłosu, bo nie polegają na składaniu szeroko komentowanych w mediach pozwów. - Reduta powstała, zanim państwo polskie prowadziło jakąkolwiek politykę historyczną, a w zasadzie wtedy, gdy prowadziło politykę antyhistoryczną. Do 2015 r., z małym antraktem między 2007 a 2008 r., praktycznie tej polityki historycznej nie było. Polska milczała w swoich sprawach - mówi Świrski. - Pamiętam, że całymi dniami i nocami przeszukiwałem wtedy Internet i pisałem emocjonalne e-maile z żądaniem sprostowań dotyczących m.in. „polskich obozów” i wszystko to jak grochem o ścianę, nikt nawet nie odpowiadał. Aż wreszcie zrozumiałem, jaki popełniałem błąd, a jaki do dziś popełnia duża część środowiska czulego na takie wartości jak patriotyzm i dobre imię Polski. Jest nim przeświadczenie, że Polska jest centrum świata, wszyscy są nią zainteresowani i trzeba bardzo głośno i w sposób, nazwijmy to, agresywny o Polsce komunikować. Problem polega na tym, że o Polsce myślą tylko Polacy, nikt inny - dodaje.

Jak mówi Maciej Świrski, dziś 70-80 proc. sprostowań Reduty odnosi skutek. Każde z nich opiera się na tym samym fundamencie: „Użycie sformułowania »polski obóz koncentracyjny« jest mową nienawiści w oparciu o kłamstwo oświęcimskie z wykorzystaniem uprzedzeń narodowościowych i etnicznych”.

- Użycie języka politycznej poprawności powoduje zrozumienie problemu i w konsekwencji poprawę tekstów. A innego języka nie rozumie współczesny dziennikarz mediów na świecie. Emocjonalne ataki na media odbierane są jako polska megalomania, propaganda i chęć ukrycia swoich własnych win - mówi Maciej Świrski.

Warto o tym pamiętać, bo dziś w dość prosty sposób reagować może każdy. Na przykład korzystając z wykorzystywanej także przez polskie placówki dyplomatyczne, przygotowanej przez Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau oraz agencję reklamową FCB Warsaw aplikacji „Remember” (do pobrania ze strony correctmistakes.auschwitz.org). Działa ona na zasadzie korektora tekstu, który podkreśla frazy typu „polskie obozy koncentracyjne” i podpowiada właściwe określenie. Rozpoznaje 16 języków.

„OSTROŻNY OPTYMIZM”

Polscy dyplomaci wysyłają nawet ponad setkę próśb o sprostowania rocznie.

Z danych udostępnionych „Do Rzeczy” przez MSZ wynika, że w latach 2008- 2020 odnotowano 1849 przypadków użycia w przestrzeni medialnej za granicą zwrotów „polskie obozy zagłady”, „polskie obozy śmierci” w zakresie których placówki dyplomatyczne podjęły interwencje prasowe. Najwięcej w Wielkiej Brytanii (ok. 350 interwencji] i USA (blisko 300).

MSZ zaznacza, że trudno mówić o trwałych trendach, ale zauważa, że w ostatnich kilku latach nastąpił spadek liczby interwencji. W 2020 r. polskie placówki zagraniczne interweniowały w 99 przypadkach w 29 państwach, podczas gdy w 2019 r. odnotowano 136 interwencji w 27 państwach, a w roku 2018 - 217 interwencji w 35 państwach. „Z analizy mediów wynika, że główne wydania wielu poczytnych tygodników i dzienników, dzięki interwencjom z poprzednich lat, starają się w dużej mierze unikać niepoprawnych sformułowań »skrótów myślowych«, »nazwy geograficznej^ na które to powołują się autorzy krzywdzących i nieuprawnionych wobec polskiego społeczeństwa sformułowań.

W naszej opinii na korektę narracji medialnej wpłynęły także obchody 80. rocznicy drugiej wojny światowej zorganizowane przez Rząd RP w Warszawie, szeroko, na dotychczas niespotykaną skalę, relacjonowane w roku 2019 w mediach za granicą” - podkreśla Biuro Rzecznika Prasowego Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Maciej Świrski z Reduty Dobrego Imienia zauważa, że kontrowersje, jakie wywołała nowelizacja ustawy o IPN, przyniosły jeden pozytywny skutek - skupiły uwagę światowych mediów na polskiej wrażliwości w sprawie przypisywania Polakom współodpowiedzialności za niemieckie zbrodnie. - W konsekwencji po tak dużym nagłośnieniu sprawy, jeśli teraz w poważnych mediach pojawiają się „polskie obozy koncentracyjne”, to tylko dlatego, że ktoś to robi celowo, ze złą wolą. Wykładnia, która się pojawiła we wspólnym oświadczeniu premierów Polski i Izraela, nie pozostawia żadnych wątpliwości. W konsekwencji mamy wprowadzony pewien porządek. Wiadomo, kto jest kim - mówi Maciej Świrski.

A dlaczego było i jest to tak ważne?

- Obrona dobrego imienia Polski to nie jest tylko kwestia honoru, prawdy albo dobrego samopoczucia Polaków. Jest to kwestia bezpieczeństwa państwa. Który polityk NATO wystąpi w obronie „narodu morderców z Auschwitz”, „sprawców polskich obozów koncentracyjnych”, „antysemitów genetycznych”? Teraz o Polakach już się mówi jako o „homo- fobach” i

Kłamstwo „polskich obozów śmierci”

Wpisany przez Cwi Mikulicki

Środa, 16 Czerwiec 2021 07:51 -

„prześladowcach LGBT”. Który z polityków NATO zaryzykuje swoją karierę i najbliższe wybory, jeśli wystąpi w obronie takiego narodu? Obrona wizerunku Polski jest więc działaniem w kierunku utrzymania bezpieczeństwa narodowego, ponieważ art. 5 traktatu waszyngtońskiego (NATO) jest ściśle polityczny i to politycy będą podejmować decyzje w przypadku napaści na Polskę. Żaden z nich nie wystąpi wbrew woli swoich wyborców, jeśli ci wyborcy nie będą Polski pozytywnie kojarzyć - mówi prezes Reduty Dobrego Imienia.

Opracował: Cwi Mikulicki, Izrael